

Szkoła jako wylęgarnia ateistów

Autor tekstu: **Tadeusz Żeleński (Boy)**

Tak się złożyło, że dopiero teraz przeczytałem Artura Górskiego „List do nauczyciela w sprawie szkoły anty-religijnej”. Kwestia ta musi interesować każdego, kto w Polsce żyje i myśli. Wprawdzie nie można powiedzieć, aby przeżycia religijne w Polsce naprawdę zajmowały wiele miejsca, ale tyle spraw przemyca się pod firmą religii, tyle osób czy stronnictw żeruje na niej, że wszystko, co jej tyczy, nabiera wagi. Nieraz zastanawiałem się więc, czemu poziom wszystkiego niemal, co wywiesza u nas godło religii, jest tak przerażająco niski, czemu każde klerykalne pisemko ziele ciemnotą, perfidią i nienawiścią. Nie mnie jednego to uderzało. Niedawno temu wybitny krytyk, sztandarowy katolik, ubolewał nad tym w swoim artykule, przeciwstawiając naszym stosunkom szerokie i kulturalne nastawienie, jakie ma do spraw społecznych i literackich wierzący obóz katolicki we Francji. Skutek tych rozważań był nieoczekiwany: inny, jeszcze katolickiejszy literat, uzurpujający sobie funkcję rewizora, rzucił się na owego krytyka, zadenuncjował go, przyprawił o utratę skromnej posady, obrzucił go tyłoma zniewagami i insynuacjami, że wynikiem był pojedynek na pistolety (zapewne za indultem). I kiedy się zastanawiał, jak mówię, nad tymi smętnymi stosunkami, pomyślałem, że kto wie, czy przyczyny tego nie trzeba by szukać w szkole, tylko w cokolwiek innym sensie, niż się to zazwyczaj czyni. Kiedy się mówi o szkole „religijnej”, i obrońcy jej, i przeciwnicy zwykle ujmują rzecz tak: szkoła religijna to „wzmożenie ducha religijnego w społeczeństwie, szkoła bez nauki religii to dla religii szkoda”. Traktuje się to jako pewnik. Tymczasem łatwo być może, iż rzecz ma się wręcz przeciwnie i że **religia nie ma silniejszego wroga niż właśnie nauczanie jej w szkole**. Ma tego świadomość sam Górski, gdy pisze:

"Trzeba wyznać, że nauka religii, tak jak jest dzisiaj postawiona w szkole, nie daje młodzieży wiele korzyści. Ani nie budzi duszy religijnej, ani nie rozwija jej skrzydeł. Ponadto **wprowadza do umysłu element intelektualnych sprzeczności i w ten sposób zasiewa ziarna, z których wyrasta zwątpienie, matka niewiary...**"

Formuła ta jest może zbyt oględna. Kiedy Górski pisze, że nauka religii „daje niewiele korzyści”, można by raczej powiedzieć, że z punktu czysto religijnego nauka ta wyrządza nieobliczalne szkody. Również nasuwa wątpliwość owo zastrzeżenie: „tak jak dzisiaj jest postawiona”... Czy tylko dzisiaj? Czy może być, czy będzie kiedy lepiej postawiona? Bo że za moich czasów — niezupełnie dzisiejszych — nie była postawiona inaczej, to fakt. I o tym właśnie chciałem kilka słów pomówić. Takie autentyczne świadectwa więcej mogą się przyczynić do rozjaśnienia sprawy niż gołosłowne dyskusje.

Sądzę, że można by ująć rzecz tak: Wszystko, co jest w nas z uczuć religijnych, ma swoje źródło gdzie indziej; wszystko, co daje szkoła, jest powolnym i systematycznym tych uczuć niszczeniem. Nie będę mówił o pierwszym dziecięcym zetknięciu się bodaj z dziesięciorgiem przykazań i o naiwnych pytaniach małych bębnow, co znaczy „nie cudzołóż” i „pożądać żony bliźniego swego”. Prawdziwy konflikt zaczyna się w gimnazjum. Mówię wedle tego, na co patrzałem. Do każdej lekcji odnoszą się uczniowie rozmaicie, zależnie od przedmiotu i osobistych zamiłowań, ale do jednej lekcji odnoszenie jest jednomyślne, to znaczy z jednomyślną niechęcią: do nauki religii. Na myśl o niej młode szczęki rozdziawiają się rozpaczliwym ziewaniem. I ani rusz nie chcą jej uznać za naukę. Tautologie katechizmu w rodzaju: „Dlaczego Bóg jest wszechmogący?” — „Bo wszystko może”, sprzeciwiają się pojęciem o nauce nawet malców, jak również zawiłe wywody na temat, że Bóg, choćby chciał, nie mógłby być doskonalszy, niż jest, etc. Od tego się zaczyna, po czym każdy rok szkolny ma swój przysmaczek. Płaskie streszczenie historii Starego Testamentu, jeszcze potworniej płaskie ujęcie Nowego, który, zadawany, wydawany, podpowiadany i klasyfikowany, jest czymś doprawdy urągającym cudowi Ewangelii. Potem historia Kościoła, przy której ironiczną zabawą uczniów jest konfrontowanie jej z równocześnie wykładaną historią powszechną. Niby to naiwnie, z głupia frant zgłaszają się uczniowie z podręcznikiem historii Kościoła do nauczyciela historii i proszą o wyjaśnienie nastroczających się sprzeczności i wątpliwości. Ach te „wątpliwości”! Dla jednego są one psotą, dla innych tragicznym przeżyciem. Zaczynają one oblegać od początku, od owego klasycznego: „Jak Bóg może być wszechwiedzący i wiedzieć, że człowiek zgrzeszy, i skazać go na piekło, i zarazem być najmiłościwszy”, etc. Któż przez to nie przeszedł i kogóż zdołała w tym uspokoić oschła dialektyka prefekta! Ale najsilniejszym

elementem destrukcyjnym jest nauka dogmatyki, wykładana starszym już chłopcom. Legiony młodzieży zeznają jednomyślnie, że nauka dogmatyki była dla nich przełomem, ruiną ich wiary. Nie wiem, jak jest dziś, ale trudno sobie wyobrazić coś bardziej niezdarnego niż podręcznik, z którego uczono nas dogmatyki. Podawać te rzeczy chłopcom w wieku, gdy młody mózg kosztuje pierwszych rozkoszy i pierwszych tryumfów ścisłego myślenia, w wieku, gdy zmysł krytyczny najbardziej jest wyostrzony, to doprawdy szaleństwo! Genialny Pascal mógł porzucić naukę i powiedzieć sobie: „Trzeba się ogłupić”, ale uczniowi piątej klasy nie wolno się ogłupiać... Nauka dogmatyki daje zresztą pretekst do groźnej zabawy. Ulubioną rozrywką uczniów staje się przypieranie księdza do muru za pomocą swoich „wątpliwości”. Mieliśmy w porze dogmatyki wyjątkowo tępego katechetę, mimo że doktora teologii; ten lubił rozwiązywać zwycięsko wszelkie wątpliwości i zachęcał wręcz, aby z nimi występować. A oto przykład, jak się rozprawiał np. z aktualną wówczas dla nas teorią Darwina, ewolucją gatunków, kwestią pochodzenia człowieka etc. „Głupi jest twój Darwin: wsadźże kurę do chlewika i trzymaj ją sto lat, zobaczysz, czy się z niej zrobi prosię” — tak odpowiadał ów doktor teologii. Na tym poziomie wszystko.

I jest tutaj coś więcej, coś, co może jest najważniejsze. Czy może być coś niebezpieczniejszego niż to stałe zetknięcie młodzieży z księdzem na platformie niechęci i nudy, w atmosferze przymusu, trzeźwości i prozy, niż to wydanie go na pastwę uczniakom bez pomocy najsilniejszych atutów religii, jej tajemnicy, powagi i poezji. Cóż za próba! I o ileż trudniejszy jest tutaj dobór ludzi niż przy jakichkolwiek innych funkcjach kapłańskich! Ksiądz odprawiający mszę, skoro raz włoży ornat, może być, jaki chce, jest wówczas kapłanem spełniającym najwyższą tajemnicę; toż samo ksiądz dysponujący umierającego; ksiądz słuchający spowiedzi, choć nie orzeł, ma za sobą wzruszenie konfesjonału, rola jego zresztą jest raczej bierna. Ale wystawić pierwszego lepszego księdza na łup obserwacji, na ogień chytrych dysput pięćdziesięciu mniej lub więcej sprytnych, złośliwych, a przede wszystkim znudzonych chłopaków i kazać mu być ambasadorem religii odartej ze swych splendorów, wyrwanej z uroczystych mroków kościoła, podawanej w formie racjonalistycznej i pseudościślej nauki! Nie ma trudniejszego doboru ludzi niż tutaj, a nie ma pono czegoś bardziej przeciętnego niż przeciętny katecheta. O ile nie gorzej... Biorę mój przykład. Chodziłem do gimnazjum, które uchodziło za wzorowe; mieliśmy w niższych klasach katechetę, o którym już raz wspominałem, a który po kilkunastu latach „pracy pedagogicznej” otruł się pewnego dnia z obawy przed skandalem... W wyższych klasach mieliśmy księdza, tępego prostaka, bez wychowania, bez inteligencji, bez powagi, na którego uczniowie patrzyli z lekceważeniem i z którego czynili sobie po prostu zabawkę, judząc go i przywodząc do absurdów swymi chytrymi dysputami. Bezlitosna zabawa z tego sługi religii była jedynym urozmaiceniem owych morderczych lekcji — i cała klasa, bez różnicy, brała w tym udział. Oto dwa typy, pod których przewodnictwem duchownym przebyłem całą prawie szkołę.

Ala zostaliśmy przy przeciętnych typach; ileż tu trudności! Skoro katecheta będzie łagodny, pobłażliwy, natychmiast chłopaki zaczynają czytać pod ławką, uczyć się lekcji na następne godziny, handlować markami, nawet rżnąć w karty. Jeżeli będzie surowy, przedmiot jego będzie nienawidzony. To samo zdarza się przy innych przedmiotach, powie ktoś. Nie, to zupełnie co innego: przy łacinie lub matematyce chodzi ostatecznie o to, aby się ich uczyć, a co sobie uczeń o nich myśli, jaki jest uczuciowy stosunek ucznia do przedmiotu, o to nauczyciel mniej się troszczy — gdy, przeciwnie, ostatecznym celem nauki religii jest właśnie ten stosunek uczuciowy.

I to jeszcze nie wszystko. Ten sam nauczyciel religii, który stawia stopnie, rozdaje kary i dyskredytuje się w oczach uczniów dysputami -, w które go wciągają, w niedzielę wkłada ornat i odprawia mszę, mszę obowiązkową, na której obecność jest kontrolowana, nieobecność karana. Ba, miałem katechetę, który sam, czy to obracając się „do ludu”, czy nawet w lustrach ołtarza umiał kontrolować zachowanie uczniów w czasie mszy i wciągał je do stopni! Czy można obrać skuteczniejsze środki, aby mszę odrzec z wszelkiej tajemnicy, i zrobić z niej katorgę więzienną?

Nie mówię o „egzortach” — tu już pióro omdlewa; wszelki opis byłby za słaby...

Tak więc proces niszczenia w dziecku religii przez jej nauczanie można oznaczyć niemal ze ścisłością. Bolesny proces. Ileż nocy przepłakanych, ileż godzin przeleżanych krzyżem, w których malec opędza się daremnie zwątpieniu! Aż w końcu wszystko odpada. Zapewne, że z niejednego odpadłaby wiara dziecięca i tak, ale nie ulega wątpliwości, że nawet wówczas stosunek do spraw religii pozostałby nieskończenie lepszy, szlachetniejszy, niż bywa dzisiaj. Szkolna nauka religii nie tylko odbiera religię, ale obrzydza ją. Płatek po płątku oskubuje ją do

cna z jej godności. I trwa ta praca osiem lat! Komu nie da rady Stary Testament, temu poradzi dogmatyka, kogo nie wykończy dogmatyka, z tym się upora straszliwa „etyka” a dopełnia dzieła spowiedź gimnazjalna, odprawiana hurtem, w atmosferze niechęci, buntu, cynizmu, demoralizacji. Ekspediują ją wypożyczeni księża byle jak, nie mając często możliwości zdać sobie sprawy z wieku chłopca. Pamiętam, jak mnie, dziesięcioletniego malca, niewinnego jak zeszłoroczna Halicka, przypierał ksiądz natarczywymi pytaniami, „czy nie było jakich nieskromnych dotknięć”, przy czym zupełnie nie wiedziałem, o co mu chodzi. Zaintrygowany, zwierzyłem się koledze i... dowiedziałem się. Potem chłopczyzna dowiaduje się ze zgrozą, że są tacy, którzy się spowiadają za kolegów za parę groszy lub za tutkę cukierków, oddając fałszywą kartkę, bo cała treść gimnazjalnej spowiedzi to oddanie owej wymaganej przez władze szkolne „kartki”. Zrazu patrzy się ze zgrozą na świętokradcę, bojąc się mu rękę podać, potem malcy oswajają się z istnieniem tego proceduru. Chłopcy pożyczają sobie wzajem karteluszków z grzechami, wskazują sobie księży, którzy spowiadają łatwo i szybko, uczą się podrzucać kartkę księdzu, który niedowidzi. Przymus spowiedzi to masowa produkcja świętokradztwa, bluźnierstwa. Jaka wytwarza się stąd atmosfera, świadczy fakt, który zdarzył się za mej pamięci w wyższej od mojej klasie: fakt wyplucia hostii! Nie można było dojść, kto się tego dopuścił, podejrzenie padło na notorycznego „ateistę”, którego wypędzono ze szkoły, tymczasem popełnił to zupełnie inny chłopiec, którego nazwisko kilku znało, ale przez honor szkolny milczeli, on zaś nie przyznał się, znosząc, aby ukarano niewinnego. Znałem później sprawcę tego czynu: był — nie zmieniwszy zresztą zbytnio zasad — redaktorem klerykalnego pisma...

Zatem, co zdolniejsze, inteligentniejsze, odpada od wiary. Zapewne, niektórzy wracają do niej po latach. Ale nie dzięki szkole, raczej pomimo szkoły. Kiedy czytam uwagi Artura Górskiego, widzę w nich echa własnych przeżyć tego pisarza, mającego tak głęboki instykt wiary, a który karierę pisarską zaczął od głośnego procesu, wytoczonego mu o obrazę religii i o bluźnierstwo. Nie zna tych wstrząsów większość tych, których w ogóle te kwestie ani ziębia, ani grzeją i którzy przez rutynę przestrzegają czysto formalnych wymagań religii, sprowadzonych zresztą do minimum. Pozostają przy religii chłopcy raczej tępi lub niezupełnie normalni, często w osobliwy sposób kojarzący dewocję ze zwyrodnieniem moralnym. Później w szeregach obrońców religii grasują półświadomi lub świadomi spekulanci, często zresztą skombinowani z poprzednią odmianą. Tych jest legion w naszej publicystyce klerykalnej lub półklerykalnej i stąd jej okropny poziom. Klerykalne nasze pisemka umieją tylko wciąż opowiadać o masonach i o tym, że Wolter wypił swój nocnik przed śmiercią. Opowieść tę słyszałem od katechety w szkole i znów wyczytałem ją kilka dni temu!

I myślę, czy w tym braku poważnego stosunku do religii, w tym frymarczeniu nią, w tym doprawdy obscurnym poziomie intelektualnym, który jest hańbą katolicyzmu u nas, nie tkwi opłakany wpływ szkoły w tej mierze. Być może, iż przy laicyzacji szkody religia zachowałaby swoją tajemnicę, swoją poufność, swoją wstydlivość, swoje dostojeństwo. To pewna, że religii nie dała szkoła nikomu, odebrała ją niejednemu. Przyczynia się może do podtrzymania statystyki urzędowych katolików, do podtrzymania oficjalnej obłudy. Jeżeli o to idzie, to inna sprawa. Ale jeżeli chodzi o istotną treść, w takim razie sędzę, że trzeba by zacząć rozważać kwestię pod innym niż dotychczas kątem. Zamiast łączyć naukę religii w szkole z samą religią, raczej trzeba by stwierdzić, że pierwsza jest negacją drugiej i jej zniszczeniem.

Zobacz także te strony:

[Oświata: między kagankiem a gromnicą](#)

[Wprowadzenie religii do szkół](#)

[O nauce religii z autopsji](#)

[Czego uczą na religii?](#)

[Pierwsza walka: katecheza](#)

(Publikacja: 01-09-2002 Ostatnia zmiana: 24-08-2004)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,318) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,318>)

Contents Copyright © 2000-2008 by Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.
Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę podkatalogów, skrypty JavaScript oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl